

# Edward Balcerzan

---

## Badacz i jego prześmiewca

---

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 3, 2-8

---

1972

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## **Badacz i jego prześmiewca**

*O, wyśmiej się rozśmieszalnie  
ośmiewanych śmiech śmiejący.*

(W. Chlebnikow)

Nauka jest krainą skupionej powagi. Pracochłonna, zdyscyplinowana, wymagająca gorzkich wyrzeczeń i upartych namiętności, budzi powszechny szacunek. A jednocześnie i respekt graniczący z lękiem. Powiada Ernst Cassirer, że nie ma dziś drugiej potęgi, którą by można przeciwstawić myśli naukowej — uchodzi ona za najwyższe urzeczywistnienie człowieczeństwa. Sens rozmaitych przedsięwzięć społecznych, i małych i wielkich, od innowacji w dziedzinie kosmetyki — do projektów ochrony biosfery, od podręcznika hata yogi — do decyzji ekonomicznych, musi przejść próbę ekspertyzy naukowej. I biada tym przedsięwzięciom, którym nauka odmówi swego uwierzytelnienia. (Zostają doszczętnie „spalone” w oczach ogółu.)

Powaga nauki uzewnętrznia się najpełniej w jej języku.

Uczony pielęgnuje mowę prawd uniwersalnych, nadto: bezimien-nych, a to znaczy przede wszystkim — ogłaszanych bezinteresownie. Doraźne interesy badacza lub interesy społeczności, która umożliwia mu działalność, zostają z tekstu wypowiedzi naukowej „wycofane”. Osobowość uczonego, wspólnie z jego prywatnymi skłonnościami, z jego gustem i temperamentem, „zużywa się” niejako w samym procesie poznawczym. Nie wpisuje się w system pojęć, nie ingeruje w strukturę opisywanych obiektów. Dzieje się tak, jak chciał Witkacy (choć nie o nauce pisał, lecz o Czystej Sztuce): badacz istotnie nie wnosi do swojego tekstu bodaj kropli „życiowego brudu”. Cały stanowi funkcję myśli, realizuje się w akcie prowokacji inte-

lektualnej. Cały — oddany w służbę idei. Dlatego słowo nauki wydaje się „słowem natury”. Odstania rzeczywistość twardych, obiektywnych konieczności, wobec których wszelki bunt jest już nieopłacalny.

*Powaga sprawy i powaga stylu. Powaga naprzeciw powagi.*

*A mimo to przecież poczynaniom ludzi nauki — czy od prapoczątków? — towarzyszy poczucie śmieszności. Im wyraziściej widać szczyty myśli naukowej, tym bardziej nuży i skłania do drwiny nieefektywna wspinaczka ku szczytom; rodzi się podejrzenie, że droga badacza prowadzi nie tam, gdzie powinna, nie w górę, lecz w dół, i nie w głąb, lecz na dno, w samą przepaść. Śmieszy pedanteryjny kult szczegółu, bezużyteczność wieloletnich i żmudnych dociekań. Namiętności klasyfikatorskie doprowadzone do przesady momentalnie humorycznieją. Po co to wszystko, w imię jakich racji? („Martwe znasz prawdy, nieznanne dla ludu, — Widzisz świat w proszku, ...”) Proceder działań badawczych, rozłożony na drobnutki epi-zody, rozarty na proszek, prowokuje powszechną weselość; jego element, detal, obserwowany zwłaszcza w izolacji, wygląda wstydliwie. Język nauki, w swym wychłodzeniu, w swej benedyktyńskiej sumienności, w swych patetycznych rytuałach, nadto: w swoich „bibelotach”, w przypisach i fiszkach, to nader wdzięczne tworzywo parodii.*

Oto próbka: „Wrotki na ogół rymują się ab ab. 10-sylabowiec przekładany 8- lub 7-sylabowcem. Metrum pseudojambiczne, w czym upatruję wpływ poezji rosyjskiej. Zdarzają się również glykancje, molossy i cynamony. Cezura epileptyczna”<sup>1</sup>.

Równie często uczęszczanym polem treningowym humorystów, którzy obśmiewają pasje uczonego, są tematy dysertacji naukowych. Coś w rodzaju „O brodawkach w Brazylii”. (Nad tym tematem trz-dzi się nieszczęsny profesor z „Hymnu do uczonego” Włodzimierza Majakowskiego.) Oczywiście, prześmiewca nie występuje w roli ignorant, przeciwnie, atakuje z pozycji znawcy. („Nie znasz prawd żywych, nie obaczysz cudu!”) Jednostronnie wyspecjalizowaną nadwiedzę badacza usiłuje przedstawić jako pseudowiedzę. Protestuje przeciw sztuczny, jak sądzi, próbom „unaukowienia” spostrzeżeń i mniemań, które mogą, jego zdaniem, doskonale się bez tego obejść. Przypuśćmy, pisał kiedyś Henryk Elzenberg, że stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, iż żaden polski poemat nie kończy się rymem

<sup>1</sup> K. I. Gałczyński: *Poezje*. Warszawa 1957, s. 382.

na „-ila”. Przypuśćmy też, że i w przyszłości nie powstanie wiersz, który by się takim oto rymem kończył rzeczywiście. I cóż z tego? Jaką to mianowicie korzyść gnoseologiczną można wynieść z tak absurdalnie „unaukowionych” obserwacji? Żadnej.

Są jeszcze inne tereny działania prześmiewcy. Miejsca źle strzeżone przez badacza. Zapuszczone, dzikie. Badacz, odkrywca i wynalazca, musi raz po raz powtarzać prawdy powszechnie znane. W końcu bowiem „banalność” jest pojęciem ściśle sytuacyjnym, określa stopień przyjęcia tej czy innej idei i nie odnosi się do jej faktycznej wartości, która może być najwyższej próby. Musi wracać do oczywistości, zwłaszcza wtedy, gdy — spowszedniałe i niedostrzegalne — przestają bronić dostępu atrakcyjnym kłamstwom. A prześmiewca tylko na to czeka! Więc rzeczywiście, pyta rozbawiony, nadawca kieruje swą wypowiedź do odbiorcy? Więc w istocie dzieło literackie jest w specyficzny sposób zorganizowane? I to mają być odkrycia naukowe? Ejże!

Trzeba przyznać, że śmiech z uczoności pod jednym względem wydaje się sprawiedliwy i demokratyczny. Nie oszczędza nikogo. Ani erudyty, ani teoretyka. Nie ma przed nim ratunku ani dla archaistów, ani dla nowatorów. Julian Tuwim natrzęsł się kiedyś ze staroświeckiej przypisomani filologów. Felietoniści współcześni, odwrotnie, podrywają z awangardy. Z jej terminologii. Redundancja, kod, inwariant, synchronia. „Dziwny” termin pod piórem prześmiewcy — wplątany w sieć najprostszych asocjacji brzmieniowych — wypokraca się i upiornieje. I tak „inwariant” kojarzy się obojętnie z „wariatem”. (A w domyśle, że to wszystko to wielkie wariactwo.) Słowo „kod” wypowiedziane tak, aby końcowa głoska „d” traciła całkowicie swoją dźwięczność, okazuje się nagle nazwą sympatycznego i jakże swojskiego „obiekta”. Prześmiewca porozumiewawczo mruga okiem. Czy to kod, czy to kot? (A w domyśle: czym się ci ludzie zajmują!).

Powaga nauki zostaje otoczona oto zewsząd korowodem niepowagi. Fakt ten ma określony wpływ na „zachowanie się” badacza. Myśl naukowa nie bytuje przecież w izolacji, nie ma prawa nie dostrzegać swego otoczenia. Ostatecznie ciągnie z niego soki. Wiele mu zawdzięcza. Zwłaszcza myśl humanistyczna. To, co nienaukowe (poza-, para-, pseudo-, a i zgoła antynaukowe) stanowi dla niej stały układ zasilania. Nie jest dobrze, gdy „tworzywo” zaczyna się ostentacyjnie „buntować” przeciw swojemu „przetwórcy”. Gorzej, gdy pozwala sobie na jawne szyderstwo. Badacz musi się bronić. Usi-

luje na różne sposoby poskromić prześmiewcę. Zawstydzić go jakoś. Upomnieć. Wytłumaczyć to i owo. Skłonić do powagi. „(...) boć nie ma rzeczy dość błażej i zdawkowej w ogóle, która by nie mogła stać się ośrodkiem uniwersalnej ciekawości po ujawnieniu niespodzianych, a zawsze tak czy owak obecnych związków z rzeczami powszechnie ważnymi. Cóż może być bardziej prywatnego nad wesz? A ileż na nią poluje dzisiaj naukowych mikroskopów, odkąd okazała się specyficzną komiwojażerką duru plamistego”<sup>2</sup>.

Cóż, gorzkie doświadczenie uczy, iż tego rodzaju perswazje, owszem, skuteczne w dialogu z „prześmiewczością” potencjalną i nierozbudzoną, powiedzmy sztubacką, zawodzą w starciu z kpiarzem zawodowym, ten bowiem, aby uwierzyć w związek każdej rzeczy z rzeczami powszechnie ważnymi, musiałby popełnić samobójstwo. Jako kpiarz. On dobrze wie, że wszystko w końcu da się powiązać z wartościami bezspornymi „tak czy owak”, lecz swe sukcesy temu właśnie zawdzięcza, iż między owym „tak” a „owak” leżą obszary niejasne, o drogach niepewnych, i po tych obszarach grasuje.

Badacz zna jednak inne sposoby obrony. W sytuacjach szczególnie trudnych, w momentach kryzysu, w osaczeniu „ludycznością” nadto już rozpasaną i bezkarną, zaczyna naśladować swego przeciwnika. Uprzedza jego ruchy. Śmieje się pierwszy, zanim tamten zdąży zaczerpnąć powietrza, aby wybuchnąć śmiechem. Bawi się sam: i sobą, i własnym prześmiewcą. Wprojektowuje go w narrację, wciąga do środka, podjudza, ale i nie spuszcza z oka.

Śmiech okazuje się skutecznym instrumentem w przeciwdziałaniu śmieszności. Powaga orientuje się na niepowagę. Naśladownictwo, zgodnie z klasycznymi teoriami, rodzi sztukę. Tekst naukowy staje się zadziorny, obfituje w chwytły retoryczne, nie cofa się przed kalamburem, wykorzystuje efekty „dwugłosowości” zdań parentetycznych i słów ujmowanych w cudzysłów. Terminologia, niekiedy, ulega metaforyzacji. Zaczyna „migotać” i „pełgać” nowymi znaczeniami.

Dobłą szkołą zabawy badawczej była rosyjska szkoła formalna. Wyznał kiedyś Wiktor Szklowski: „Ja z nauką tańczę”. Formaliści musieli się liczyć z prześmiewcą typowym, który będzie zarzucał im kult drobiazgów i wypominał fascynację oczywistościami. Znali technikę gry prześmiewczej. Wiedzieli, „jak jest zrobiony” przeciwny pamflet na badacza. Zorientowali się prędko, że prześmiew-

<sup>2</sup> T. Kotarbiński: *Wybór pism*. T. II. Warszawa 1958, s. 299.

ca operuje metaforą, z której wynika, iż „drobiazg” zajmujący uczonego to nie tylko „drobiazg”, ale i na dobitkę jakieś odrażające poskudztwo. Wiesz, brodawka. Żaba (namiętność Pickwicka). Tak na przykład proceder rejestrowania najmniejszych pomyłek tłumacza, uprawiany przez badaczy sztuki translatorskiej, bywa pogardliwie — mniejsza z tym, czy słusznie — nazywany „polowaniem na pchły”. (Po rosyjsku: „łowła błoch”.) Występując z programem przekształcenia poetyki w naukę ścisłą, narażeni na drwiny operujące taką właśnie „pchłą” metaforą, formalisci, aby nie przegrać od razu, w pierwszym starciu, sami zaczęli mówić o sobie... domniemanym językiem własnego antagonisty.

„Metoda formalna — głosił manifest z 1923 r., drukowany w «Lefie» — to klucz do zgłębienia nauki. Wszystkie pchły-rymy muszą zgłosić się do ewidencji. Nie obawiajcie się polowania na pchły w kosmicznej próżni”<sup>3</sup>.

Analogicznych zabiegów wymagała rehabilitacja prawd powszechnie znanych, a całkowicie zapoznanych w literaturoznawstwie ówczesnym. Że pisarz jest przede wszystkim pisarzem, że sztuka literacka to sztuka słowa i tak dalej. Uwyrażnienie myśli ewidentnej kazało wciągać prześmiewcę do gry, cytować go, odśmiewać, manipulować jego świętym oburzeniem, aby nie przeszkadzał.

Na przykład. Pierwsze „pchnięcie”: najprostsze wyłożenie myśli najbanalniejszej pod słońcem i przytoczenie cudzej kpiny:

„Antoni Pawłowicz Czechow, o którym mówię, jest pisarzem.

«Nie do wiary, to ci dopiero nowina!... — wybuchacie zaraz głośnym śmiechem. — O tym wie każdy dzieciak»”.

I natychmiast „pchnięcie” drugie — szydzenie z szydarcy:

„Tak, wiem, orientujecie się w najcieńszych subtelnościach charakteru każdej z trzech siostr, znakomicie przestudiowaliście życie odzwierciedlone w każdym opowiadaniu Czechowa, nie poblądzicie wśród ścieżek wiśniowego sadu.”

Wreszcie „pchnięcie” ostatnie. Powrót do powagi:

„Ja natomiast chciałbym go przywitać dostojnie, jako jednego z dynastii «Królów Słowa»”<sup>4</sup>.

Igranie z odbiorcą, charakterystyczne dla stylistyki futurystycznej i opozycyjnej, nie zawsze przecież wynikało z dołączonych potrzeb

<sup>3</sup> Cyt. wg N. Ł. Lejzerow: *W poiskach i bor'bie*, Moskwa 1971, s. 172—173.

<sup>4</sup> W. Majakowski: *Pońnoje sobranije soczinienij*. T. I. Moskwa 1955, s. 294—295 (Majakowski w *Hymnie do uczonego* atakował „złego badacza”, w swoich młodzieńczych szkicach bronił „badacza dobrego”).

strategicznych. Było raczej wykładnikiem „antyprofesorskiej” postawy badacza, często w jednej osobie uczonego i poety; osobliwą radością „roztąnczenia się w nauce”.

Pisał Johan Huizinga, że żart i zabawa — ożywiające uczone traktaty renesansu i oświecenia — w tekstach badaczy współczesnych nie odgrywają donioślejszej roli. Pierwiastek ludyczny cechuje bowiem naukę, by tak powiedzieć, w stadium prehistorycznym, w pierwszym dniu stworzenia, kiedy to pole faktycznych dokonań jest znacznie mniejsze niż pole nie zrealizowanych możliwości. Łatwiej grać możliwościami niż dokonaniem. I tak alchemia przejawia więcej elementów zabawowych niż dojrzała chemia, astrologia chętniej „igra” niż astronomia i tak dalej.

Wszystko to prawda. Sprawa się jednak komplikuje w nowej humanistyce. Nauka o człowieku i o systemach komunikacji międzyludzkiej wylania z siebie wciąż nowe i nowe dyscypliny badawcze, z których każda — natychmiast, w pierwszym szkicowym projekcie! — uświadamia sobie własną „prehistoryczność”. Po pierwsze dlatego, że jak wszystko w tej dziedzinie, jest grubo „spóźniona”. Po drugie dlatego, że stanowi system „niegotowy” i „niewykończony”. (Narażony też na cudzy śmiech.) Widzi w swych tekstach — niejako od razu — dokumenty epoki przejściowej. Wie, że ma charakter tymczasowy, kształt prowizoryczny. (Nasza socjologia literatury na przykład.) Tłumaczy, i to z całym przekonaniem, raczej własnego zaistnienia, ale odwołując się do czegoś, co ma dopiero zaistnieć w przyszłości. Tamto, mówi, jutrzejsze, wydoskonalone, sformalizowane, będzie prawdziwie poważne. Ale to, dzisiejsze, wciąż poszukujące, pokomplikowane, tworzy się na granicy pracy i „gry w pracę”. Sam moment gry zostaje zatem ujawniony. Żart ulega instytucjonalizacji. Dążenia, rekonesansy, serie prób i błędów, nadzieje uzewnętrzniają się nie tylko w systemach pojęciowych, ale także w ludycznie „nacechowanej” technice pisarskiej uczonego. Przeglądając publikacje literaturoznawcze z ostatnich lat, rodzime i tłumaczone, trudniej wybrać tekst idealnie sterylny i całkowicie „bezzabawny” niż rozprawę — w ten czy inny sposób — angażującą elementy ludyczności. Narzuca się najpierw uwadze książka Ericha Auerbacha; tu wydawca już na skrzydełku obwoluty powiadamia czytelnika, że u źródeł Auerbachowej metody interpretacyjnej znajduje się „swobodna zabawa z tekstem”. Przychodzi także zaraz na myśl Roland Barthes, głównie jako autor misternych miniatur o mitologii befsztyka i frytek, Citroëna i strip-tease’u, Barthes, „rygo-

rysta w teorii, czarnoksiężnik w praktyce”<sup>5</sup>, rozdarty, jak pisze Jan Błoński, między wiedzą pustą a wiedzą dowolną. I od razu też Erwin Panofsky. Jego gra erydycją nadmierną, obciążającą przypisy taką ilością wiedzy, że edytor wolał uprzedzić zdziwienie czy onieśmielenie czytelnika, „nie nawykłego do literatury naukowej tego typu”<sup>6</sup>, i jednocześnie jego ustawiczne wiązanie wywodu z frazeologią potoczną, z retoryką żurnalistyczną, które daje jedyny w swoim rodzaju splot uczoności i swojskiej „zwyczajności” stylu. Janusz Sławiński, cyzelator, badacz dążący do takiej precyzji, w której ostrowidzenie słowa, terminu, definicji, przeraża się w grę konstrukcji jakby niewidocznych, zbudowanych z samej pojęcio-wości w stanie „czystym”. Sławiński potrafi jednak, niespodziewanie, przywrócić słowu pełną materialność i konkretność, przy czym nie korzysta z figur zapożyczonych u poety, u prozaika, przeciwnie, ogranicza się do tradycyjnych osobliwości narracji filologicznej, np. do przypisów. Czytamy w tekście głównym szkicu o Białoszewskim: „Podobnie zwrot «mucha nie kuca nic», którym narrator kwituje z uznaniem akuratność czynu Mańki Szpryncer, jest swego rodzaju «streszczeniem» szerszej całości frazeologicznej: «mucha nie siada, komar nie kuca»”. A oto komentarz badacza w przypisie: „W wersji bardziej rozwiniętej występuje jeszcze jeden człon: «a jak kuca, to się go zrzuca (ściślej: zruca)»”<sup>7</sup>. Cały żart dopełnia się w owym — najsumienniejszym — „ściślej”. Wreszcie Stanisław Lem: z terminów różnonaukowych, ba: z ich gigantycznych „mrowisk” czyni przedmiot specyficznej „orkiestracji” stylistycznej. Każe im, w najzawilszych konfiguracjach, dzwierać, huczeć, przemiażdżać się, stapiać, udawać mowę tajemną alchemika czy astrologa.

Edward Balcerzan

<sup>5</sup> J. Błoński: *Słowo wstępne* do: R. Barthes: *Mit i znak*. Warszawa 1970, s. 21.

<sup>6</sup> J. Białostocki: *Przedmowa* do: E. Panofsky: *Studia z historii sztuki*. Warszawa 1971, s. 7.

<sup>7</sup> J. Sławiński: *M. Białoszewski: „Ballada od rymu”* W: *Liryka polska. Interpretacje*. Wydanie drugie. Kraków 1971, s. 597.